

DYSKUSJE I POLEMIKI

Henryk Ślabek

Warszawa

Inteligencja — postawy — zachowania*

Nie jest łatwo formułować opinię o rozprawie tak niewielkiej pod względem objętości, ale zaskakującej doniosłością i rangą podnoszonych problemów oraz autorską wizją ich rozwiązań. Jest to książka, według słów samego prof. Hassa, „o losach, zachowaniach i postawach — zatem w sporym stopniu dziejach politycznych — siedmiu kolejnych pokoleń inteligencji polskiej” (s. 5). Wolno sądzić, jeśli przez postawy i zachowania będziemy rozumieć dość zgodnie przypisywaną im treść¹, że przedmiot rozważań stanowią zjawiska ze sfery świadomości i psychiki, a więc na wskroś subiektywne.

Bohaterem rozprawy jest inteligencja w konkretnej historycznej postaci. Kryteria identyfikacji inteligenta stanowią: formalne wykształcenie (od pewnego okresu koniecznie wyższe), specyficzne źródła dochodów (praca najemna lub wolny zawód) oraz — szczególnie w latach II RP — „dobre wychowanie”, czyli charakterystyczny sposób wystawiania się, zachowań wobec kobiet, bycia przy stole itp. Ostatnie kryterium — o czym mówi się pośrednio — było najważniejsze. W wypadku osób z arystokracji, przynajmniej w czasach bardziej odległych, rozstrzygało ono samoistnie o ich przynależności do inteligencji, natomiast ludzi wywodzących się z tzw. nizin społecznych, również z wykształceniem wyższym i wykonujących zawód inteligencji, raczej rzadko włączano do kręgu inteligenckiego. Traktowano ich pogardliwie jako ćwierć- i półinteligentów.

* Ścisłej: Jak badać postawy i zachowania współczesnej inteligencji. Pisane hasłowymi skrótami, uwagi poniższe opracowano na kanwie wprowadzenia do dyskusji — które wygłosił piszący te słowa — nad książką prof. Ludwika Hassa (*Pokolenia inteligencji polskiej 1918–1997*, ss. 87, Wydawnictwo Mazowieckiej Wyższej Szkoły Humanistyczno–Pedagogicznej w Łowiczu, Łowicz 1997). Dyskusja — której wyniki również częściowo uwzględniam — z udziałem Autora odbyła się 22 czerwca 1998 r. na zebraniu Towarzystwa Naukowego im. Adama Próchnika. Wypowiadali się m.in. prof. prof. K. Dunin–Wąsowicz, J. Kancewicz, L. Kieszczyński, J. Żarnowski.

¹ Postawa to zespół predyspozycji intelektualno–psychicznych do określonej reakcji na określony zespół bodźców zewnętrznych. Zachowanie to sposób bycia, sposób reagowania na bodźce zewnętrzne, maniery, obejście, postępowanie.

Stąd między innymi — jak dosadnie, lecz trafnie pisał Melchior Wańkowicz — jeszcze w czasach II RP wśród inteligentów pochodzenia plebejskiego mnożyły się przejawy „skundlenia”. Wychodźcy wypierali się swego pochodzenia, ukrywali je. W obawie przed „dekonspiracją” unikali nawet odwiedzin u rodziców i rodzeństwa. Jeśli już koniecznie trzeba było się spotykać, to najchętniej wieczorem lub na stronie, aby nikt ze znajomych niczego nie zauważył. Osobisty awans wychodźców oznaczał niegdyś nieodwracalne osłabienie szans klasy, z której wychodzili (por. J. Chałasiński, B. Suchodolski).

Inna rzecz, że bynajmniej nie wszyscy inteligenci pierwszego pokolenia zasługiwali na miano inteligenta, jeśli tegoż miałyby wyróżniać również zdolność do docenienia i przeżywania wartości wyższego rzędu. Do analogicznego poglądu zbliżał się także wybitny socjolog międzywojnia o orientacji lewicowej Stanisław Rychliński. Uważał on, iż relatywnie wielu inteligentów o „rodowodzie drobnomieszczańskim” wykorzystuje nową pozycję nie tyle do rozwijania osobowości własnej i postronnych, co po prostu do bezpardonowego dorabiania się niechby i „na złość” innym oraz na ich oczywistą szkodę. Inaczej bywało w domach rodowej inteligencji; tutaj do kultu pieniądza i poddających mu się ludzi — handlarzy, dorobkiewiczów, nowobogackich burżujów — żywiono niechęć albo i pogardę.

Wreszcie zapytajmy wprost od siebie: czy opinią inteligenta mogła się cieszyć tylko osoba inteligentna, tj. intelektualnie oryginalna, odkrywca? Bynajmniej. Jako warunek niezbędny do bycia inteligentem traktowano maniery, a z nich, mówiąc językiem współczesnym, bodaj przede wszystkim inteligencją poprawność, również polityczną. W środowisku, mimo szyderstw znanych intelektualistów — Witolda Gombrowicza, Artura Sandauera, Andrzeja Kijowskiego — mile witano zachowania ujednoczone, czy nawet — jak mawiał Gombrowicz — „stadne”.

Badany zbiór nie obejmuje inteligentów — ideologów i działaczy partii nieinteligentnych, klasowych. Ta kategoria osób — zdaniem Hassa — nie wchodzi w rachubę. Nie odpowiadają one bowiem przyjętym kryteriom, nie czerpiąc dochodów z określonych źródeł. Ale nie tylko. Na zarzut, że zawężając zbiór co najmniej zubaża się prospołeczne dokonania inteligencji i sam inteligentki etos „służby ludowi”, Autor odpowiadał: Ilu inteligentom kojarzyły się z inteligencją polską imiona legitymujących się doktoratami Juliana Marchlewskiego i Róży Luksemburg? Można by dodać: a kto po wojnie, nie wyłączając spektakularnych ankiet „Polityki”, wliczał do inteligencji posiadających wyższe wykształcenie „aparaczków partyjnych”, a także oficerów MO, UB i wojska? Rzeczenni ideolodzy i działacze również po II wojnie bodaj najczęściej byli postrzegani jako ludzie spoza inteligencji.

Autor, odnosząc konsekwentnie przyjęty zespół kryteriów do całego omawianego okresu (1918–1997) w sposób przejrzysty zakreśla ramy badanego przedmiotu. I on, i czytelnik wiedzą, o czym i jak się pisze. Plus godny odnotowania, tym bardziej że precyzyjne określenia nie stanowią charakterystycznej cechy aktualnego piarstwa historycznego.

Profesor omawia fragmenty dziejów w przekroju pokoleniowym. Pokolenia odmierza w przedziałach 10-letnich; na każde z nich składają się losy kolejnych dziesięciu roczników. Względnie krótsze przedziały, np. od przyjmowanych przez demografów (zwykle 25-letnie), już tym się mają tłumaczyć, że na postawy i zachowania inteligentów w stopniu niewielkim rzutują doświadczenia dzieciństwa (tj. pierwszych dziesięciu lat życia).

Niemniej otwarta wydaje się kwestia, czy okresu pokoleń w znaczeniu właściwie historycznym nie należałoby różnicować zależnie od nierównego przecież zagęszczenia takich wydarzeń, które mogły wstrząsnąć pokoleniem młodych ludzi (18–25-latków), współokreślać mocno tego pokolenia imponderabilia, odruchy myślowe, szczególne poczucie wspólnoty itp.

Czy idąc konsekwentnie tropem rozumowania samego Autora, nie byłoby celowe wyodrębnienie pokoleń: wojny i okupacji (roczniki 1914–1918), 11-letniej ery stalinowskiej (1919–1929), 15-letniego okresu „socjalizmu siermiężnego” (1930–1944), wreszcie okresu rządów Edwarda Gierka (1945–1954) i Wojciecha Jaruzelskiego (1955–1964). Chyba tak. Wydaje się, iż również w wypadku historii zjawisk masowych przyjęcie dla pokolenia sztywnych 10-letnich ram może prowadzić do rezultatów słabszych od możliwych do uzyskania w badaniach prowadzonych z wykorzystaniem metody pokoleń bardziej „uhistorycznionych”.

Kolejny szerszy problem — pytanie: jak ma się tytuł książki do wykorzystanych materiałów?

Subiektywny przedmiot badań w sposób oczywisty wpływał zarówno na wybór ich podstawy źródłowej (dokumenty autobiograficzne), jak i metody dociekań (analizy jakościowe). Sam Autor ujmuje rzecz następująco: „Postawy i zachowania poszczególnego pokolenia są zjawiskiem typu masowego. Jednak na ogół o nich nie rozporządzamy — co jest zrozumiałe, wynika z natury zjawiska — odpowiednimi źródłami masowymi. Podstawę do uogólnień stanowią indywidualne prasowe wypowiedzi okazjonalne, wspomnienia i pokrewnego typu przekazy” (s. 10).

W stosunku do tytułu podstawa dokumentacyjna książki jawić się może jako dość uboga, a kryteria doboru materiałów — jako niezbyt przejrzyste. Niewiele jest przypisów w ogóle (ok. 120), jeszcze mniej z nich (ok. 50) odsyła czytelnika do wspomnianych „wypowiedzi okazjonalnych”. Nie odwołuje się Autor do dzienników, listów i życiorysów, a więc do zapisów z rodzaju dokumentów autobiograficznych najbardziej miarodajnych, sporządzanych „na gorąco”, częściej spontanicznie. Z przywoływanych wypowiedzi i wspomnień zdecydowana większość (ok. 80% ich ogółu) pochodzi z ostatnich kilkunastu lat; a wszystkie one są głosem wielkomejskiej elity pisarzy i publicystów. Uderza nieobecność świadectw inżynierów, naukowców, lekarzy.

W pewnym momencie nasuwa się myśl, iż bardziej adekwatny byłby tytuł: „Pokolenia humanistycznej inteligencji polskiej (w świetle publikowanych dokumentów autobiograficznych z lat 80. i 90.” Zmierzające w tym kierunku sugestie padały również na wspomnianym zebraniu dyskusyjnym.

Wraz z ewentualną korektą tytułu nie zniknęłyby oczywiście pytania i trudności typu: jak w wypadku badanych zjawisk masowych ze sfery świadomości i psychiki osiągać typowość i wiarygodność, prawdziwy obraz i samą prawdę historyczną? I te bez przesady zupełnie podstawowe pytania nie są Autorowi obce¹. Niemniej jednak warto odnieść się do nich ogólniej, również na podstawie innych wydawnictw o inteligencji².

Inaczej niż socjolog, historyk typowości materiałów ani nie jest w stanie zaprogramować, ani określić; nawet wówczas, gdy ma ich nadmiar. Już tylko do opracowania powojennego autoportretu pisarzy rozporządzamy setkami tysięcy informacji; liczba samych dokumentów

¹ Uprzedzając ewentualny zarzut, już we wstępie próbuje się usprawiedliwić przenoszenie postaw i zachowań elit na całą inteligencję tym, że ta starała się brać wzór z intelektualistów i bohaterów ich dzieł, a sama bardzo rzadko kreowała dokumenty o sobie (s. 10–11).

² Zob. książki według kolejności ich ukazywania się w księgarniach: D. Nałęcz, *Sen o władzy. Inteligencja wobec niepodległości*, Warszawa 1994; M. Tomczak, *Duch i władza. Intelektualiści podzielonych Niemiec wobec państwa i narodu*, Poznań 1996; H. Słabek, *Intelektualistów obraz własny w świetle dokumentów autobiograficznych 1944–1989*, Warszawa 1997; M. Fik, *Autorytecie wróć? Szkice o postawach polskich intelektualistów po październiku 1956*, Warszawa 1997; J. Adamski, *Inteligencja bez maski*, Warszawa 1997.

autobiograficznych — w postaci dzienników, listów, życiorysów, wspomnień, relacji, okolicznościowych wypowiedzi — idzie co najmniej w dziesiątki tysięcy. Oczywiście nikt w pojedynkę nie opanuje takich gór papieru. Może poradziłby sobie — najlepiej za pomocą tzw. grantu — jakiś wielki zespół badaczy. Ale po co? Podobny zabieg ani o krok nie musiałby nas zbliżyć choćby do właściwego odtworzenia obrazu własnego intelektualistów, nie mówiąc o prawdzie o nich. Bo szczególnie w tym wypadku o wynikach poznania rozstrzygają nie tyle materiały, co podmiot badający.

Historyk rozpoczyna badanie tematu z jakąś jego wyjściową wizją. Owa wizja od początku oddziałuje na przedmiot, podsuwając zadawane materiałom pytania. Sama z kolei, mimo że źródła „tak zwykle tańczą, jak im pytania grają”, również ewoluuje. Lecz kiedy kolejne materiały już na zmianę ogólnej wizji nie wpływają, ich gromadzenie można uznać za zakończone.

O podstawie opracowania zatem — czy jest ona wystarczająca, wiarygodna — historyk decyduje arbitralnie na własną odpowiedzialność. Innego wyjścia nie ma (por. wypowiedzi W. Kuli).

Przy badaniu autoportretu inteligentnego w świetle dokumentów autobiograficznych historyk jest zobligowany do odtworzenia takiego obrazu, który byłby wiernym odpowiednikiem rzeczonych przekazów źródłowych. Nie może natomiast i nie musi odpowiadać na pytania: A jak ma się ten autoportret — prawda że z natury bardzo subiektywny — do rzeczywistości, a jak to było naprawdę? Weryfikowanie obrazu własnego z pozycji tzw. prawdy obiektywnej, jeśli jest w ogóle wykonalne, wymagałoby użycia dodatkowo również innych metod i materiałów³.

Przyszedł rok 1989, a wraz z nim powszechnie zapanowała prawda oczekiwana, bliska i nade wszystko ujmująco prosta. Prawdą historyczną — szczególnie w wydaniu historyków młodszych — staowało się prawie wszystko, co było odwrotnością w stosunku do wcześniejszej, „oficjalnej” wersji historiograficznej. Wystarczyło zamieniać symbolikę o konotacjach pozytywnych na przeciwstawną, by zapewnić sobie poklask albo i — bywało — stopień bądź tytuł naukowy. Niewiele, by nie rzec — nic nowego. Lecz — to też przyznać trzeba — doczekaliśmy się historiografii więcej niż „partyjnej”. Przydarza nam się coraz częściej czytać dzieła opra-

³ Mechaniczne przenoszenie doświadczeń tzw. historii idiograficznej prowadzi do zaskakujących oczekiwań i krytyk. Na przykład M. Kunicki–Goldfinger pisze recenzję wspomnianej mojej książki pod wyzywającym tytułem: *Jak to było naprawdę?* A jej tytuł ulega zmianie (czyż to nie wszystko jedno?) na: *Intelektualiści — obraz własny w świecie dokumentów...* (w: „Wiadomości Historyczne” 1997, nr 7, s. 52–54). Analogicznego błędu nie popełniło wielu recenzentów spośród niehistoryków, od których dużo można się nauczyć. Na przykład z recenzji Krzysztofa Teodora Toeplitza, gdy pisał: „Henryk Stabek porusza się na tym gruncie niepewnie [chodzi o znajomość spraw środowiska „od kuchni”, z autopsji]. Na jego korzyść jednak zapisać wypadnie też to, że ma tego pełną świadomość. Stąd przyjęta przez niego i egzekwowana z żelazną konsekwencją zasada, że wiarygodnymi dla niego źródłami do opisu postaw, poglądów i ewolucji środowisk twórczych PRL nie są własne domysły, czy choćby zebrane opinie, lecz wyłącznie teksty pisarzy i artystów, napisane przez nich samych, złożone przez nich i opublikowane deklaracje i oświadczenia, wreszcie ich wspomnienia, wywiady, pamiętniki i dzienniki. Na tym też polega zasada obrazu własnego, który historyk stara się rekonstruować. Pisze on więc nie o tym, co on sam lub ktokolwiek inny sądzi dzisiaj o tym środowisku, albo też, co należy o nim sądzić (a to właśnie wydaje się główną intencją książek obrachunkowych), ale o tym, co szczególnie jego przedstawiciele sądzą i sądzili o sobie oraz o czasach, w których przyszło im żyć i działać”. (KTT, *Hamlet, Poloniusz i Rosencrantz*, „Wiadomości Kulturalne” nr 26, 29 VI 1997).

cowane w duchu „koalicyjnej prawdy historycznej”, przecież wcześniej nieznaną, ani do zgłębienia niemożliwą.

Czy historia jest nauką? — Pytała heretycko i wątpiła publicznie Uthe Daniel, bo niejasne jej się wydawały same kryteria naukowości — jak odróżnić wiedzę od niewiedzy, słuszność od błędu — oraz społeczna celowość i społeczne konsekwencje ich stosowania. Przejawiali skłonność do postrzegania historii jako odmiany raczej literatury i sztuki niż nauki m.in.: H. White, L. Stone, E. P. Thompson. Głośny znawca historiografii George G. Iggers przychyliła się do opinii, iż historia jako nauka musi mieć solidną bazę, a historycy muszą prezentować rozumowe i koherentne argumenty wytrzymujące krytykę⁴. Być może i jemu, nie mówiąc o wyżej wymienionych sławach ze świata uczonych, niedaleko było do uznania tzw. prawdy socjologicznej albo i artystycznej; prawdą jest to, co za taką zostanie uznane przez większość ekspertów w danej dziedzinie wiedzy, albo przez zwykłych użytkowników sztuki (czytelników, widzów oglądających obraz, film, sztukę teatralną itp.).

Najogólniej mówiąc z prawdą historyczną bardzo różnie bywa. Historyk pisze o przeszłości, lecz jemu samemu i tym bardziej czytelnikom jego dzieł jako najbliższe prawdzie przedstawia się to, co najlepiej kojarzy się z osobistą historią doświadczeń. Poprzestańmy z konieczności na jednym przykładzie.

Na wielkie znaczenie współczesności, jako inspiracji i źródła historycznego, wskazuje „historiografia pokoleniowa”; ta *notabene* zdaje się dobrze poświadczając użyteczność metody wprowadzającej do badań przekroje pokoleniowe. Niemal każde, a po wstrząsach i kataklizmach zgoła każde pokolenie ma inną, własną wersję historii. Tuż po wojnie np. dla studentów francuskich, a obecnie i dla polskich — najbardziej przekonującą historię — również o epokach odległych — piszą i będą pisać ich rówieśnicy. Dzieje się tak, mimo że młodzi mają mniej umiejętności i wiedzy, także o dokumentach, zwłaszcza z dawniejszej przeszłości, których wiele zaginęło w czasie wojny. Rozstrzygają nie kompetencja i wiedza, lecz doświadczenia rówieśnicze; na ich podstawie bowiem kształtują się najbardziej zbliżone zainteresowania (również historyczne), nawyki, gusty, reakcje. Wskutek odmiennych pokoleniowych życiorysów autorów i czytelników nawet najlepsze i najbardziej gruntownie udokumentowane opracowania sprzed kilkudziesięciu lat są dziś martwe. Spośród młodzieży prawie nikt po nie sięga (może z wyjątkiem *Dziejów Polski* Michała Bobrzyńskiego)⁵.

Nierzypadkowo na Zachodzie o zjawiskach masowych — w dodatku o charakterze tak bardzo subiektywnym, jak w omawianym przez nas wypadku — uznani historycy chętnie piszą eseje. nie przejmując się szczegółami, analizą, odsyłaczami. Motywację stanowi nie tylko chęć, by odbiór dzieła był możliwie szeroki. Uczony, dzieląc się w formach popularyzatorskich ogólnymi wnioskami (ogólną własną wizją) z wieloletnich badań nie sprzeniewierza się zadaniom nauki. Bywa wprost odwrotnie; właśnie w tego rodzaju dziełach następuje przekonujące dla czytelnika zbliżenie do prawdy. W moim odczuciu również praca Ludwika Hassa jest przykładem znakomitego, mimo że pisanego nie bez wahań, eseju naukowego.

Przyrównywanie książki przez samego Autora do studium, a nie do ogólnych właśnie szkiców, jak też wyczuwalny autorski stres z powodu niedostatków dokumentacyjnych dzieła,

⁴ U. Daniel, *Historia społeczna, quo vadis?* w: *Historia społeczna. Historia codzienności. Mikrohistoria*, red. W. Schulze, Warszawa 1996, s. 80–82; G. G. Iggers, *New directions in European Historiography*, Wesleyan University Press 1984, s. 191, 202.

⁵ Zob. szerzej: H. Stabek, *Witold Kula — historia — polityka*, w: „Dzieje Najnowsze” 1997, nr 4, s. 150 i n. oraz *Historia społeczna Polski (1945–1989)*, w: „Dzieje Najnowsze” 1998, nr 1, s. 103–122.

to raczej przejaw nieporozumień, niedostatecznej konsekwencji w samookreśleniu tego, co, po co i dla kogo się pisze. I tylko tyle.

Gdybym miał zaliczyć rozprawę do jednego z trzech nurtów historiozoficznych współczesności — postrewizjonistyczny, narodowo–katolicki, realistyczno–racjonalistyczny — wskazałoby na nurt ostatni; najmniej zideologizowany, reprezentowany w twórczości ludzi skądinąd bardzo różnych (B. Łagowski, K. Modzelewski, F. Ryszka, J. Szacki, J. Szczepański, A. Walicki).

Cel polskiego politykowania tradycyjnie sprowadza się do działań przede wszystkim rozdzielających nagrody między trudzące się formacje i ich ludzi. Racja stanu, państwa, obywateli — mimo patriotycznych zakłęk — bywa używana do zadośćuczynienia interesom egoistycznym, grupowym. Tak pojmowaną rolę obywatelską również w nauce musi grać każdy, kto godzi się być historykiem dyspozycyjnym, nadwornym.

Prof. Ludwik Hass po raz kolejny może tracić kontakt z rzeczywistością polityczną i środowiskiem. Bo jego książka jawi się jako krzyczące zaprzeczenie zasad „historii dyżurnej”. Bo nie zna on dylematów — pytań wielu historiografów i opisywanych bohaterów inteligentkich: pozostać wiernym nakazom własnym, czy ulec pokusie władzy, wygodnego życia? Bo nie piszą się na rolę stadnego „sumieniowca” ani na sezonowe przeżywanie „niepokoju moralnego”, niezmiennie idzie pod prąd własnymi ścieżkami. Bo jest ciągle odmienny, inny; „cóż to za dziwak” — zapewne znowu mówić się będzie w warszawskich salonach.